

Elektryzująca powieść.
Nic tu nie jest oczywiste,
a zakończenie zaskakuje.

GABRIELA GARGAŚ

Wciągający thriller.
Napięcie nie słabnie nawet
na moment. Polecam!

ALICJA SINICKA



W DOMU KŁAMCÓW

KELSEY COX



„Kiedy do domu wchodzi Śmierć, rzuca cień
tak długi, że zdaje się dotykać wszystkich”.

Fanny Longfellow w liście napisanym
po śmierci siedemnastomiesięcznej córki, 1848

Wieczór przyjęcia

Ten dom zawsze należał do Matki.

Przycupnięty nad najwyższym urwiskiem w hrabstwie Comal w Teksasie, wybudowany w stylu królowej Anny pod koniec XIX wieku przez Wilhelma Vogla. Wilhelm zakochał się w młodej Adzie Müller, debutantce słynącej z odrzucania zalotników, zwracania im świecełek, wierszy i ignorowania wszelkich prób jej oczarowania. Marzył jej się zamek. Zatem Wilhelm, szanowany człowiek interesu i kamieniarz, wyruszył do Texas Hill Country, podobnie jak wielu niemieckich imigrantów przed nim. Tam kupił ziemię. Pociągiem sprowadził z Nowego Jorku architekta, ten stworzył wyborny projekt i zaczęła się budowa. Wapień pozyskiwano z okolicy. Witrażowe okna i ręcznie rzeźbione meble sprowadzono z Europy. W końcu w ogrodzie wzdłuż ażurowych krat Wilhelm spracowanymi dłońmi posadził tulipany – ulubione kwiaty Ady. Potem po nią posłał. Parę miesięcy później przybyła i zobaczyła zamek z powozu, wysoko nad ziemią – asymetryczna fasada, wieżyczki i wykusze, weranda okalająca dom na dwóch

poziomach – górujący na tle nieskończonego teksaskiego nieba. Ada była zadowolona.

Ranczerzy mieszkający w cieniu rezydencji często widywali panią Vogel, wysoką i smukłą, jasnoskórą i jasnowłosą – rozczesującą loki przy oknie na górze, zajmującą się delikatnymi kwiatami: żółtymi, kremowymi, różowymi, które stały na straży wokół posiadłości. Później patrzyli, jak pcha dziecięcy wózek po ogrodzie, a o zachodzie słońca stoi na balkonie z twarzą wystawioną na wiatr.

Ale potem Ada umarła. Tak krótko żyła w tym wspaniałym domu. Zrodziła się całkiem nowa opowieść. „Wypadła” – powtarzali ludzie. „Przypadkiem?” – pytali. Niektórzy zastanawiali się, może nawet szeptali za zamkniętymi drzwiami, choć nigdy w szanowanym towarzystwie, czy godzi się pochować ją w poświęconej ziemi.

Potem – po tym, jak Wilhelm się wyprowadził, okna pozabijano deskami, a dom popadł w ruinę, po tym, jak miasteczko rozplenilo się u stóp wzgórza niczym dzikie zboże – zaczęto opowiadać co innego.

„Nawiedzony” – mówili.

*

Przez ponad sto lat dom stał uśpiony. Aż któregoś lata w 2010 roku kupił go ktoś nowy. Od tamtej pory miejscowi czekali, by się tam dostać.

Renowację było widać z dołu. Najpierw mozolnie odrestaurowali go z zewnątrz: wapienne cegły wyszorowali do czysta, wymienili profile w witrażowych oknach, misternie rzeźbione drewniane łuki i balustrady naprawili i pomalowali na jasnośliwkowy kolor. Wykuli piwnicę i piwniczkę na wino. Potem wewnątrz wyburzyli ściany, zdarli podłogi, podnieśli stropy. Usunęto zmniejszające

przestrzeń drewniane belki, pikowane meble na nóżkach w kształcie szponów i spleśniałe wiktoriańskie gobeliny. W końcu wszystko jaśniało: białe wnętrza, marmur calacatta ze złotymi żyłkami, nowoczesne żyrandole jak mydlane bańki.

Całe miasto wyraźnie widziało zmiany. Bo na koniec – co najbardziej szokujące – kawałek po kawałku usunęto tylną ścianę domu i zastąpiono ją na całej wysokości szkłem odsłaniającym wnętrze. Nawet balkon – szklany, rozciągający się na całej szerokości z tyłu górnego piętra, wiszący nad basenem infinity.

Dom otwarł się jak oko bez powieki.

Naturalnej wielkości domek dla lalek.

*

Dzisiaj dzień swoistej premiery – ma się odbyć przyjęcie. Żelazna brama jest otwarta. Drzwi nie zamykano na klucz. Nareszcie ich zaproszono.

W domu huczy, huczy jak w otwartym ulu.

Wyjątkowo ekstrawaganckie szesnaste urodziny: koreczki z cateringu, trzy poziomowy tort, DJ, który zmienił patio z niebieskiego piaskowca w parkiet. Wynajęte smokingi, wypolerowane buty, wylakierowane włosy, suknie Badgleya Mischki i Halstona kupione w sklepie Nordstrom w centrum handlowym La Cantera w San Antonio.

Przed ósmą wieczorem wszyscy rozproszeni zbierają się, by razem zaśpiewać „Sto lat”. Światła są zgaszone. Szesnaście świeczek odbija się w czarnej szklanej ścianie. Solenizantka myśli życzenie, zdmuchuje świece, zatapiając je w ulotnej ciemności. Widzą małe światełka własnych domów nisko w dole, widzą miasteczko tak, jak widzi je dom. Przez krótką chwilę czują się szczęśliwą

tego wszystkiego, tego domu. Ale on do nich nie należy.
Do żadnego z nich.

Należy do Matki.

Światła znów się zapalają. Tort zostaje pożarty. Pograżone w mroku szkło jest jak nocne lustro, pokazujące gościom ich własne oblicza. Nie widzą już, co jest na zewnątrz.

Ale coś słyszą.

Krzyk. Trwający akurat tyle, ile może spadać z góry ciało.

A potem – to potworne lupnięcie.

Echo – dźwięki, które ten dom już kiedyś słyszał.

DANI

Przed przyjęciem

Charlotte zaczyna pojękiwać. Jeszcze nie płacze, ale rozumiem, że to sygnał ostrzegawczy. Męczy ją już tkwienie w chodziku. Mam... jakieś czterdzieści sekund, zanim zaczniesz się drzeć.

Pracuję nad tortem cały dzień w tych krótkich wolnych chwilach, którymi zaszczyliło mnie dziecko.

– Sekundkę, kochanie.

Kończę rząd wściekle różowych płatków z kremu. Ten tort to feeria neonowych barw – jakimś cudem styl lat dziewięćdziesiątych wrócił do łask. Ale potrzebuję tak naprawdę więcej niż sekundy. Potrzebuję wielu godzin bez przerw.

Charlotte odchyła się w chodziku i wydaje z siebie przesywający krzyk. Oczywiście właśnie w tym momencie do kuchni wchodzi Ethan.

Parę miesięcy temu zażartowałby: „Biedactwo. Mama cię torturuje?”. Ale nie teraz. Teraz rzuca aktówkę na wyspę i ratuje Charlotte z chodzиковego więzienia. Płacz ustaje równie nagle, jak się zaczął.

- Gdzie Órlaith? - pyta, rozglądając się za nią po dużym otwartym pomieszczeniu.

Ta kuchnia jest spełnieniem marzeń. Zawstydzilaby każdą rozkładówkę z magazynu „Bon Appétit”, do jakiej wzdychałam, jaką zaznaczałam, wycinałam i przyklejałam do mapy marzeń w garderobie mieszkania. Strop na wysokości trzech i pół metra, dwie wyspy, wszystko z białego marmuru, sprzęty Gaggenau, lodówka marki Sub-Zero, robione na zamówienie mosiężne uchwyty pod kolor geometrycznych wiszących lamp. Powinnam być szczęśliwa do szaleństwa.

- Przepraszam. - Odkładam rękaw cukierniczy, wycieram ręce o fartuch. - Wysłałam Órlaith na górę, żeby poskładała pranie. Przysięgam. Jeszcze przed chwilą Charlotte nic nie...

- Spokojnie, Dani. Przecież wiem.

Trzyma Charlotte na biodrze. Mała ciągnie go za kołnierzyk koszuli. Ethan wygląda seksownie. Jak zawsze po długim dniu pracy. Biała koszula jest trochę pomięta, dwa górne guziki rozpięte. Wspominam drinki w środku tygodnia w słabo oświetlonych barach - gdy przechylałam ku niemu nogi, dotykałam go kolanami, czułam głód. Jakby to było całe wieki temu.

- Jak dzisiaj poszło? - pyta. - Tort wygląda fantastycznie.

Podnoszę rękaw cukierniczy, skręcam go nad rozcięciem, równomiernie wyciskam, tworząc kolejny płatek.

- Sesja z Curtisem udała się świetnie - odpowiadam, bo wiem, że o to mnie tak naprawdę pyta. Nasze rozmowy są ostatnio jak gra w Tabu, nikomu nie wolno mówić tego, o co tak naprawdę chodzi. - Pochwalił mnie za to, że będę robić tort. Powiedział, że muszę zacząć wracać do dawnej rutyny.

To trochę bujda. Curtis, tak jak wszyscy inni, nie chce, żebym się spieszyła. Ale to niespieszne tempo doprowadza mnie do szału.

Zerkam ukradkiem na Ethana, żeby sprawdzić, czy nabrał się na moje kłamstewko. Twierdzi, że nie rozmawia z Curtisem o moich sesjach, ale pewności nie mam. Bo co, gdyby role były odwrócone? Siedziałabym z uchem przytkniętym do drzwi. Ale on patrzy na Charlotte, trzyma karty przy orderach.

– Mama dzwoniła – mówię.

Charlotte jest zafascynowana guzikiem przy jego mankicie.

– Tak? No i co u Pam?

Nie miałam czasu na tę rozmowę. Nastąpiła w najgorszym możliwym momencie. Właśnie przewijałam Charlotte. Piekarnik miał zadzwonić za trzy minuty. Ale wszyscy tak się o mnie martwią, że nie mogę sobie pozwolić na luksus nieodebrania połączenia.

„Och, kochanie, zapomniałam ci wczoraj powiedzieć. Pamiętasz tego pancernika, który rozkopywał mi azalie? Tom go w końcu złapał”.

„Naprawdę? Myślałam, że uciekał z tych pułapek, które kupiliście”.

Kolejna rundka Tabu. Mama miała gdzieś opowiadkę o pancerniku, i ja tak samo. Ale musiałyśmy udawać, bo ona tak naprawdę chciała ocenić melodię moich zdań, ton głosu, usłyszeć Charlotte gaworzącą w tle. W końcu, gdy timer w piekarniku zapiszczał, a ja jedną ręką wsadziłam córkę z powrotem do bujaczka, otarliśmy się o to, o co naprawdę chodziło:

„Kochanie, na pewno nie potrzebujesz nas jutro? Bo mogę spakować torbę na noc. To nic takiego”.

„Nie, mam, spokojnie. Wszystko dobrze”.

To znaczy: ze mną jest dobrze.

– Złapali tego pancernika – mówię Ethanowi.

– Pam się pewnie cieszy. – Szczypie Charlotte w pulchniutką gołą nogę.

Znowu odkładam rękaw cukierniczy.

– Pokaż ją. – Biorę córeczkę w ramiona.

Charlotte odchyła główkę. Uśmiech przychodzi jej tak łatwo, jest taki szczodry, zmrużone oczy tworzą szparki, okrągłe policzki są czerwone jak jabłuszka. Niedawno wyrosły jej dwa dolne zęby, co jakby zmieniło całą jej twarz, a zarazem sprawiło, że stała się bardziej sobą. Sięgam po leżący na wyspie telefon, wyciągam rękę i przytulam twarz do jej policzka. Obie uśmiechamy się na selfie obok tortu.

Potem ona sięga pulchną rączką do ciasta i przesuwa nią po polewie.

– Cholera. – Odciągam ją gwałtownie, ale szkoda się stała.

Charlotte jest zaskoczona moją reakcją: szeroko otwarte oczy, drżące usta. Zastanawia się, czy się rozplakać. Tak naprawdę rozplakać.

– Nic się nie stało. Nic się nie stało. – Wyśpiewuję te słowa i kołyszę ją do nieznanego rytmu.

Uspokajam zarazem samą siebie. Teraz będę musiała znowu robić tę warstwę, zdrapywać całą polewę i zacząć od nowa. Ale nie mogę mówić o swojej frustracji na głos, bo wtedy Ethan utwierdziłby się w przekonaniu, że mnie to przerasta.

On chciał kupić tort. U „profesjonalisty”. Miałam ochotę powiedzieć: „Ja jestem profesjonalistką. A w każdym razie byłam”.

Ale powiedziałam tylko: „Tęsknię za wypiekami”.

Był w moim życiu taki okres, kiedy piekłam codziennie, kilka razy dziennie. Przed dzieckiem, przed Ethanem,

potrafiłam przez cały tydzień udoskonalać jakiś przepis – na przykład na tartę z mango i wanilią – piec i dekorować to samo nawet dwadzieścia razy, aż nadawało się na Instagram. Cienki kruchy spód, rozpływające się w ustach nadzienie, równiutkie plastry dojrzałego mango ułożone spiralnie w różę.

Ethan bierze ode mnie Charlotte.

– Órlaith! – woła.

Órlaith szybko się pojawia. Jakby przez cały ten czas snuła się tuż za drzwiami. Ciągle jeszcze nie przywykłam do tego, że mam kogoś w domu. Órlaith to niska Irlandka przed siedemdziesiątką, z praktyczną fryzurą, w butach ortopedycznych. Jest naprawdę irlandzka, mówi z akcentem i w ogóle. Niedawno imigrowała tutaj po śmierci męża.

Ma obsesję na punkcie śmierci, tak jak to się czasem zdarza starym ludziom. Każdy temat prowadzi ją jakimś sposobem do potwornej tragicznej śmierci kogoś, kogo znała. „O, nie, ja na pewno nie będę piła tego dietetycznego gazowanego świństwa” – mówi na przykład. „Dodają do tego te, no, jak im tam, od tego dostaje się raka. Moja przyjaciółka Mary O’Connor codziennie piła jeden dietetyczny napój i co jej z tego przyszło? Wiadomo, rak mózgu. Strasznie wolno umierała. Dawniej miała okrągłą śliczną buzię. Za naszej młodości chłopcy ustawiali się do niej sznurem. Pod koniec wyglądała jak inna kobieta, zapadnięte policzki, żadnej radości w oczach”.

Po czym ja sterczę jak głupia przed otwartą lodówką z puszką dietetycznej coli w dłoni, jakbym jej zaproponowała szklanekę płynu chłodniczego. Naprawdę potrafi doszukać się śmierci we wszystkim. Żaden temat rozmowy nie jest bezpieczny.

Poza tym zawsze jest jakoś blisko, w pokoju zaraz obok, składa niekończące się sterty tetrowych pieluch albo

podnosi zabawki zza kanapy, albo stoi obok, kiedy odwracam się, żeby sięgnąć po krem na odparzenia. Jakby chodził za mną osowiały kasandryczny cień.

– Wiem, że zaraz kończysz – mówi mój mąż – ale czy zanim pójdziesz, mogłabyś położyć Charlotte?

– Z przyjemnością. – Órlaith bierze Charlotte z jego wyciągniętych ramion. – Przepiękny – stwierdza, zerka-
jąc na tort.

Dwa dolne poziomy są już gotowe – starannie ułożona kolorowa posypka o różnych kształtach, tęczę z masy cukrowej z chmurkami z pianek, makaroniki w neonowych barwach.

Nie odpowiadam, skupiam się na oczyszczeniu górnej warstwy, by udekorować ją na nowo. Nie chcę być wredna. To nie wina Órlaith, że jej nie lubię. Naprawdę.

Kiedy odchodzą, Ethan staje za mną i masuje mi ramiona. Zmuszam się do ich rozluźnienia.

– Ile jeszcze? – pyta.

Cała noc. Chcę, żeby był idealny. Denerwuję się jutrem – szesnastką Sophie, córki Ethana z pierwszego małżeństwa – a przelanie tych nerwów w tort jest bardziej terapeutyczne niż jakakolwiek sesja z Curtisem.

– Raczej niedługo. – Wyglądzam bazę z jasnozielonego kremu maślanego.

Jego usta dotykają teraz mojej szyi, jego oddech jest ciepły, zarost w sam raz drapiący. Wędruje dłońmi w dół po moim ciele, do talii, bioder. Przysuwa się bliżej, wtula we mnie, czuję jego pulsowanie na plecach, jego pragnienie.

– A co, jeśli nie dam rady tyle czekać? – pyta gardłowym szeptem.

Włoski na skórze stają mi dęba – instynktownie, mimowolnie. Kładę łopatkę na marmurze, odwracam się do niego.

Kiedy go całuję, zanurza język w moich ustach. Jesteśmy razem już od ponad trzech lat, ale on ciągle całuje mnie tak, jakby robił to po raz pierwszy, jakby rozpaczliwie pragnął mnie skosztować, posiąść. To upajające. Poddaję się – niepokojne myśli przyćmiewa fizyczne doznanie, nacisk jego palców, zapach jego skóry. W tym momencie cielesnej bliskości czuję – bardziej niż myślę: może wszystko naprawdę wróci do normy.

Naciska na mnie, przytrzymuje moje biodra między sobą a twardym marmurowym blatem.

– A co, jeśli Órlaith wróci? – pytam zdyszana.

– Mam to gdzieś.

Jego usta znów dotykają mojej szyi, zęby przygryzają delikatną skórę tuż pod brodą. Nad jego głową, przez otwarte drzwi, przez salon, widzę wznoszące się schody, spód antresoli nad nami. Nagle wyobrażam sobie Órlaith nie w pokoju dziecięcym, ale cicho przycupniętą na podeście, jej bezkształtna sylwetka jak gargulec, obserwuje nas.

Przesuwam dłonie na jego ramiona, delikatnie go odśuwam.

– Muszę dokończyć tort.

Wzdycha rozczarowany, a potem całuje mnie w czoło i puszcza.

– Napijmy się dzisiaj przy basenie.

Wchodzi do dawnego pomieszczenia na srebra między kuchnią i jadalnią, gdzie urządziliśmy barek. Schowek ma mniej więcej takie same wymiary jak podłużna kuchnia w moim starym mieszkaniu, tyle że jest dużo ładniej wykończony – wykonany na zamówienie miedziany zlew, za nim lustro, szprosny na szybach w szafkach, w których prezentują się wszelakiego rodzaju kieliszki i szklanki. Lukusowe whiskey wypełniają jedną z półek, obok stoi tequila do sączenia i wódka Tito's, produkowana zaledwie

godzinę drogi od Austin. Smukła lodówka na wino o szklanych drzwiach pozwala mieć kilka butelek pod ręką – pełna kolekcja Ethana jest na dole w piwniczce. Słyszę, jak zdejmuje szkło.

– Pogoda jest idealna.

Odwracam się w stronę szklanej ściany. Panorama wciąż zapiera mi dech w piersiach. Na widok tak wielkiej przestrzeni otwartego nieba moje narządy odstawiają akrobacje. Z tej perspektywy zmierzch nadaje powietrzu wrażenie stałości, zdaje się ono szare i ubite, jak puch wyciągnięty z filtra suszarki, jakby przy upadku można było liczyć na miękkie lądowanie. Samochody w dole wiją się na drodze, gospodarstwa po drugiej stronie tworzą patchworkową koldrę. Wiosna się zaczęła, tu, w Teksasie, oznacza to kępy dzikich kwiatów jak pociągnięcia pędzla, plamy żółci, jaskrawy pomarańcz płomyków preriowych, duże połacie łubinu.

– Oby się utrzymała – mówię. – Wiem, że Sophie z przyjaciółmi mają nadzieję skorzystać jutro z basenu.

Wraca do kuchni ze szklanką whiskey w jednej dłoni i telefonem, na który zerka, w drugiej.

– Ma być trochę wietrznie.

Znowu pracuję nad rzędami wściekle różowych płatków z kremu. Teraz idzie mi szybciej.

– A skoro mowa o Órlaith – odzywam się, nie patrząc na niego. – Naprawdę myślisz, że ciągle potrzebujemy niani?

Nie chcę widzieć jego twarzy w trakcie tej rozmowy. Moja kolej na grę w Tabu. Szykuję się na jego odpowiedź. Tak naprawdę pytam: „Ufasz mi już?”.

Zaskakuje mnie.

– Rzeczywiście chyba jest z tobą lepiej.

Podnoszę wzrok. Opiera się o przeciwległy blat, ma skrzyżowane nogi, szklanka bursztynowego napoju polyskuje mu w dłoni. Na jego twarzy czai się cień uśmiechu.

Napięcie spływa mi z ramion – tym razem naprawdę. Jego słowa to oznaka zrozumienia, światło na końcu najciemniejszego tunelu, przez jaki kiedykolwiek się czołgałam.

Odwzajemniam jego uśmiech, zaczynam kolejny rząd płatków.

Ale ulga trwa krótko.

Bo on nie zna całej prawdy.

ROZDZIAŁ 3

KIM

Opieram się o framugę z kieliszkiem wina w dłoni i patrzę, jak Sophie przymierza sukienkę na jutrzejsze przyjęcie. Jak to możliwe, że moja córka kończy szesnaście lat? Kiedy ja się tak zestarzałam? Znow przelykam wino. Złotko, moja ulubiona szylkretowa kotka o czarno-pomarańczowej sierści i złocistych oczach, wije się ósemkami wokół moich kostek.

Jakimś cudem mam trzy koty i dwa psy, choć żadnego z tych zwierząt właściwie nie szukałam – przyjaciele, którzy znajdują miot kociąt przy śmietniku albo u których w czasie burzy pojawia się zbłąkany kundel, wiedzą, że nie oprę się słodkiemu pyszczkowi (ani jednookiemu pyszczkowi, jak u pręgowanego Oczyska).

Miesiąc temu zabrałam Sophie na zakupy. Przymierzyła chyba ze trzydzieści kreacji i w końcu zakochała się po uszy w tej połyskującej bladoniebieskiej odsłaniającej ramiona sukni. Dość mocno przekraczała mój budżet. Ale odmawianie nie przychodzi mi łatwo. Wychowywanie dziecka po rozwodzie oznacza ciągłą rywalizację z tym kimś, kogo się nie znosi.

Ale warto było wydać te pieniądze. To jej spojrzenie! Chciałabym, żeby tak prosta rzecz jak suknia tak mnie uszczęśliwiała. Ma szesnaście lat, smukłą talię i długie nogi, które kiedyś były moim udziałem. Sukienka jest wiązana z tyłu, odsłania trochę więcej, niżbym chciała. Ogólnie jednak jest urocza, trochę w stylu Kopciuszka.

– Kto podwiezie Mikayłę?

Mikayla to najstarsza przyjaciółka Sophie. Mieszka w naszej dawnej dzielnicy. Poznały się niedługo po naszej przeprowadzce, stały się nierozłączne tak, jak to się zdarza między małymi dziewczynkami. Tradycyjnie świętują urodziny nocowanwą, pizzą w łóżku i oglądaniem filmów do późna. Teraz oczywiście Ethan urządza Sophie nieprzyzwoicie wystawną imprezę, żeby popisać się tym, jakim jest świetnym tatą. To też jego szansa, by pochwalić się naszym dawnym domem po remoncie. Zaprosił tylu własnych znajomych, sąsiadów i współpracowników, co gości Sophie. Jest przekonany, że wszystkim ślinka cieknie na myśl o tym, żeby tam wejść. Najbardziej żalodne jest to, że ma rację.

Ucieszyłam się, że dziewczyny i tak chciały urządzać tutaj swoją nocowanwą. Może dlatego, że dzięki temu czuję się, jakbym wciąż miała w czymś przewagę nad Ethanem. On ma fasadowe przyjęcie. Ja mam prawdziwe świętowanie. A może po prostu nie jestem gotowa na to, by moje małeństwo dorosło.

Sophie dostała się w zeszłym roku do zespołu cheerleaderek, dzięki czemu zyskała garść nowych przyjaciółek, za którymi nie przepadam. To dziewczyny, których tatusiowie są deweloperami nieruchomości, a mamusie udzielają się w radzie rodziców. Dziewczyny, które całują się w policzki i wymieniają się kiepsko udającymi komplementy obelgami.

Mikayla jest ich przeciwieństwem. Rude włosy i twarz usiana piegami, zawsze wygląda, jakby dopiero co wyszła z farmy – bo to prawda. Jej rodzina od pokoleń mieszka w Bulverde – miała tu ziemię i hodowała bydło, odkąd była to wieś daleko za San Antonio, zanim miasto rozrosło się jak plama tuszu, zabudowując się paskudnymi domiszczkami, a od niedawna astronomicznie drogimi szeregowcami.

Cieszę się, że moja córka ma taką stałą przyjaciółkę. Może sama jestem popieprzona, ale chyba coś zrobiłam dobrze, wychowując ją.

Sophie wzrusza ramionami.

– Pewnie Caleb.

Ponieważ ja nie prowadzę, upijam kolejny łyk wina.

– To co, robimy na grubym czy na cienkim cieście?

Sophie prychnęła, jakbym czymś ją obraziła.

– Zjadłam trochę warzyw z hummusem. Mikayla zje z rodziną.

Stoi odwrócona bokiem, patrzy w sięgające do ziemi lustro, przesuując dłońmi po nieistniejącym brzuchu. Nic nie mówię. Jeśli zmieni zdanie, mam czekoladę na czarną godzinę na górnej półce spiżarni.

– Ślicznie się prezentujesz, Soph – mówię. Pod wieloma względami wciąż wygląda jak dziecko i nim przecież jest. Okrągła buzia, dziwnie długie ręce, jakby wyrosły jej przez noc. Ale widzę już załążki, kobiece wypukłości, jak sygnały ostrzegawcze.

– Tak? – pyta. I dodaje twierdząco: – Tak. – Odwraca się, by obejrzeć tył. – Tak. Dobrze. – Przymierza inne buty.

– Po prostu chcę, żebyś się dobrze bawiła, słonko.

Widzę w lustrze, jak ledwie zauważalnie przewraca oczami, jakbym niczego nie rozumiała. Pierwszy w życiu chłopak Sophie – dzieciak imieniem Mason, rozgrywający w szkolnej drużynie futbolowej, z opadającymi na czoło

ciemnymi włosami i grzecznym „tak, proszę pani”, „nie, proszę pani” – zerwał z nią parę tygodni temu. Prawie każdego wieczoru płakała Mikayli do słuchawki. Chyba mnie rozszarpie, jeśli o tym wspomnę, ale rozumiem ją lepiej, niż sądzi.

Sophie zaprosiła Masona na przyjęcie. Mason, jako grzeczny chłopiec, naiwnie przyjął zaproszenie. Powiedziała przyjaciółkom, że zrobiła to, by pokazać mu, jak bardzo jej nie zależy. Ale ja wiem swoje. Chce czegoś więcej niż akceptacji mamy. Chce rozświetlić przyjęcie, rozpalic je do czerwoności, spalic Masona na popiół.

– Ta impreza musi wypaść idealnie – mówi.

Odstawiam kieliszek na jej komodę. Staję za nią z rękami na jej ramionach, obie odbijamy się w lustrze.

– I tak będzie. Obiecuję. – Chociaż niczego nie mogę obiecać, dodaję jeszcze: – Zupełnie nic nie pójdzie jutro źle.

ROZDZIAŁ 4

MIKAYLA

– Calebie Jamesie, czemu, na litość, nie możesz zostawiać butów przy drzwiach? Powtarzałam to chyba z tysiąc razy. Rozniosłeś trawę po całym moim czystym salonie.

Mama krąży wokół stołu, nakłada każdemu na talerz zieloną fasolkę.

Jej słowa są jak szum. Mówiła to wszystko z milion razy. Wypowiedziała wojnę trawie. Używa dokładnie tych słów: „Wiesz, że wypowiedziałam wojnę trawie” – za każdym razem, gdy któreś z nas zapomni zdjąć buty przed wejściem do domu. Ale gdyby nie trawa, znalazłoby się coś innego. Chyba nigdy nie widziałam, jak mama siedzi. Nawet teraz lata między stołem a kuchnią jak koliberek, bo tata potrzebuje soli do purée albo Kylie upuściła widelec, albo ona sama – na litość boską – zapomniała o bułeczkach w piekarniku, jak zwykle. Między tymi zadaniami czasami muska tyłkiem krzesło. Może nawet podniesie widelec do ust, ale potem trzeba będzie zrobić coś innego i znowu się zerwie.

– Boże, Alice, siadajże już – rzuca czasem tata, ale chyba tylko z przyzwyczajenia.

– Żadnej komórki, moja panno.

Kiedy mama to mówi, tata się prostuje.

– Hej. – Pstryka w kierunku mojego telefonu, a ja kładę go na kolanach. Taty nie obchodzi trawa w salonie czy woda wokół zlewu. Ale nie znosi „nastoletnich bzdur”, takich jak smartfony czy džinsy z dziurami. „Jak ktoś chce mieć dziury w spodniach, niech przyjdzie do mnie popracować jeden dzień w oborze” – mawia.

– Pisała Sophie – odpowiadam, przesuwając ziemniaki po talerzu widelcem. – Potrzebuje mojej pomocy ze stylówką.

Wysłała mi kolejne selfie w sukience: włosy upięte czy rozpuszczone? Mocno zrobione oko czy delikatny makijaż? A buty? Oczywiście wygląda zabójczo. Sophie, nawet gdyby chciała, nie mogłaby wyglądać brzydko.

– Chyba spędzasz u niej noc? – pyta Caleb.

– A ty ją odwozisz – mówi ojciec. – Jak będziesz wracał, podjedź do sklepu po kukurydzę na paszę. Dam ci swoją kartę.

– Chce, żebym zobaczyła, jak to wygląda na zdjęciu – wyjaśniam. – No wiecie, na Snapchata.

Caleb przewraca oczami.

– Ona chodzi z tym całym Fullerem, tak?

Sophie i Mason zerwali parę tygodni temu, ale taty to właściwie nie obchodzi. Chce tylko pogadać o futbolu.

– Uganił się za nim łowcy talentów z całego Teksasu i nie tylko. Mądry jest, że nie wyjeżdża ze stanu. A&M to świetna szkoła.

– Szesnaste urodziny – rozmarza się matka, opadając na krzesło. – Obie jesteście już takie duże.

Moja własna szesnastka to nie było nic wielkiego, wyglądała tak samo jak wszystkie wcześniejsze urodziny. Cio-cie, wujkowie i kuzyni, garstka przyjaciół, tata grillujący wołowinę, mama robiąca tort i swój słynny bananowy pudding, babcia dająca mi dwieście dolarów w kartce urodzinowej – więcej niż kiedykolwiek wcześniej, więc ta jedna rzecz była wyjątkowa.

– Pamiętasz, jak były malutkie, George? Och... – Mama się podrywa. – Herbata. Naprawdę? Mogłabym przysiąc... – Rozgląda się po stole, a potem pędzi do kuchni i wraca z dzbankiem słodkiej herbaty. – Byłyście takie urocze. Kiedy oni się tam sprowadzili? Miałyście pewnie nie więcej niż po trzy latka. Pamiętasz, jak pierwszy raz jeździła na kucyku, George? Była z niej taka laleczka. – Mówiąc, okrą-ża stół, nalewa każdemu do szklanki. – Ani mi się wa-ż tak rosnąć – mówi do Kylie, całując ją w policzek. Moja siostra ma dopiero sześć lat.

A ja przypominam sobie Sophie na kucyku. Już jako dziecko była ładna – długie blond włosy falujące jak woda, skomponowane kolorystycznie stroje, lśniące buty bez jed-nej ryski. Była złotym dzieckiem. A ja nie wierzyłam we własne szczęście: zechciała zostać m o j ą przyjaciółką, przychodzić do m n i e na nocowanki, siadać obok m n i e w przedszkolu podczas czytania bajek, a kiedy pani Whitaker kazała dobrać się w dwójki podczas wycieczki do rezerwatu Natural Bridge Caverns, wybrała m n i e na swoją parę, pokazując wszystkim innym dzieciom, że należę do niej. Mogła wybrać kogokolwiek. Wszystkie dziewczynki chciały dotykać jej włosów, przymierzać jej naszyjnik, być blisko niej. Ona właśnie czymś takim emanowała – jakby przez samo bycie w jej pobliżu można było przejąć część jej blasku. Wciąż tym emanuje.

– Nie jesz – mówi mama. – Wszystko gra?

Podnoszę rękę.

– Nic mi nie jest.

– Tylko mi nie przechodź na jakąś zwariowaną dietę – mówi tata. – Chłopaki nie lubią, jak dziewczyna jest chuda, prawda, Caleb?

Caleb wzrusza ramionami.

To nieprawda. Chłopaki uwielbiają chude dziewczyny.

Wiosną w ósmej klasie Sophie dostała się do zespołu cheerleaderek. Przez to większość lata miała zajęte obozem, a jesień – treningami i meczami, zajęciami, w których nie uczestniczyłam, nowymi koleżankami. Wtedy pierwszy raz nastąpiło między nami to milczące napięcie, jak przy trzymaniu się za ręce w zabawie w przerywanie łańcucha. Poza tym ja należę do ugrupowania Przyszłych Farmerów Ameryki, hoduję własnego kozła, Eda, żeby prezentować go na Młodzieżowym Pokazie Rogacizny Hrabstwa Comal. Gdyby ktoś spojrział z boku, uznalby, że Soph i ja nie powinniśmy się przyjaźnić.

Ale nasza więź jest mocna, nasze życiorysy ciasno splecione – jak dwa naszymi splątane na dnie starej szkatułki na biżuterię. Nie potrafię przypomnieć sobie niczego, w czym by nie uczestniczyła. Moja przyszywana siostrzyczka – tak czasem mówi o mnie Sophie, oplatając mi talię rękami i całując mnie w policzek, kiedy zaciąga mnie na imprezę, na którą ona była zaproszona, a ja nie.

Nie porzuciła mnie. Nie zrobiłaby tego.

Jeśli chcą, żeby Sophie przyszła, muszą zaakceptować też mnie. Jestem jak gratis przy zakupie – kosmetyczka, z której może ktoś skorzystać, a może nie, po wydaniu siedemdziesięciu pięciu dolarów na róż i kredkę do brwi w butik.

Więc chodzę na te imprezy, siedzę ze szkolną elitą na przerwie śniadaniowej, śmieję się z ich hermetycznych

żarcików nawet wtedy, gdy ich nie rozumiem, chodzę pod rękę z Sophie, która chodzi pod rękę z Gabby, Emmą i Avą. Idziemy przez korytarz jak żywiol.

Ale ja nie jestem jedną z nich. Ich widok aż razi, bo lśnią jak okładki czasopism. Tak właśnie zaczęłam o nich myśleć – lśniące laski. Ich cienkie nogi jak gładkie lodygi, policzki i prosta linia nosa podkreślone brokatem, wysoko zebrane końskie ogony dosłownie błyszczą, związane wielkimi niebieskimi kokardami – wyglądają jak porcelanowe laleczki, które zbiera moja babcia.

Wydaje się, że takie dziewczyny ciągle próbują się skurczyć – wciskają się chłopakom na kolana, podwijają nogi pod siebie na krześle, krzyczą: „Nie, nie, nie podnoś mnie!” – chociaż to oczywiste, że chcą, żeby je podnieść. Może to taka wymiana, jakaś niepisana reguła wszechświata – im mniejsze jest ciało dziewczyny, tym więcej przestrzeni ma prawo zajmować jej osobowość.

Tata i Caleb rozmawiają o przycięciu Buckowi kopyt na zbliżające się rodeo.

Zerkam ukradkiem na telefon pod stołem, piszę do Sophie: „Brokatowe szpilki – ekstra! Wyglądasz nieziemsko!”.

Szkoda, że nie możemy cieszyć się tą chwilą razem, że nie jesteśmy już takie jak kiedyś. Że ja nie jestem jak kiedyś. Kiedyś nie musiałyśmy nic mówić, bo rozumiałyśmy się tak doskonale, że nie potrzeba było słów. Potrafiłyśmy odbyć całą rozmowę, zerkając na siebie kątem oka, doprowadzać się do ataków śmiechu uniesieniem brwi.

Teraz boli mnie nawet, kiedy na nią patrzę. Są rzeczy, których po prostu nie da się przekazać, wypowiedzieć, słowa, których nie można wymówić. Bo w głębi duszy wiem, że to oznaczałoby nasz koniec. Koniec wszystkiego.

Mam ochotę zerwać obrus ze stołu, powywracać wszystkie talerze i szklanki z herbatą, żeby roztrzaskały się o podłogę.

Sophie odpowiada GIF-em z tyłkiem Beyoncé trzęsącym się w złotej sukience.

- Na litość boską, bułki - mówi mama i zrywa się z krzesła, pędząc do kuchni, skąd dobiega lekki swąd spalenizny.

ÓRLAITH

Czy można wyobrazić sobie coś słodsze od kołysania niemowlaka do snu? O wpół do ósmej o tej porze roku słońce jeszcze zachodzi. Zaciemniające zasłony spowijają pokój w mroku, ale zza krawędzi przesącza się akurat tyle światła, że widzę krągłość jej policzka, śliczną kokardkę ust.

Śpiewam cicho do rytmu kołysania fotela: „Uśnij, serca mego kochanie, u swej matuli na kolanie”. Tę samą kołysankę śpiewałam własnej ślicznej córeczce. Minęło kilka dekad, odkąd była w tym wieku. Ale kiedy trzymam Charlotte, niemal potrafię sobie wyobrazić, że jest moja. „Anioły mają nad tobą czuwanie”.

Chociaż byłabym wniebowzięta, mogąc tulić malutką przez całą noc, odkładam ją. Wymykam się z pokoju i przy zamykaniu drzwi przytrzymuję gałkę, by zrobić to bezgłośnie.

Pan Matthews czeka na podeście schodów.

– Dziękuję, że ją położyłaś.

Przez chwilę ze mną gawędzi, pyta, czy łatwo mi poszło, czy mam plany na wieczór. Ale widać, że chodzi mu

po głowie coś konkretnego. Kilka razy zerka za siebie. Pani Matthews pewnie ciągle jest w kuchni, pracuje nad tym swoim misternym tortem.

– Jak ona się ma? – pyta w końcu.

– Cudna z niej dziecinka. Pewno niedługo zacznie pęlsać.

Potrząsa głową.

– Nie. Dani. Jak się ma moja żona? Całkiem pochłonała ją ten tort. Sam nie wiem, może to dobrze. Po prostu nie chcę, żeby się przeciążyła i...

Przerywam mu:

– Jest dzielna, to na pewno. Ledwo co została mamą. Pamiętam, jak urodziłam swoje. Ciągle tylko płakało, no to i ja też. To przechodzi.

Jego twarz nieco się rozluźnia, zmarszczka między brwiami – wygładza.

– Ile masz dzieci?

– Tylko jedno. Razem z moim Colmem chcieliśmy całą gromadkę. Szóstkę, tak się marzyło Colmowi. Ale wie pan, jak to mówią: „Chcesz rozśmieszyć Boga, to powiedz Mu o swoich planach”. I śmiał się, oj, śmiał. Ale przecież koniec końców to On ma zawsze rację, nieprawda? Bo nasza córeczka wyrosła na ideał.

Uprzejmie unosi kąciki ust.

– Masz wnuki?

– Nie, nie.

– Pewnie na nie czekasz, co?

Uśmiecham się.

– Wspaniale opiekujesz się Charlotte. Mamy szczęście, że z nami jesteś. Boję się zostawiać Dani samą... – Milknie.

– Z dzieckiem? – pytam. Wiem, że ma swoje powody.

– Nie, skąd – wycofuje się szybko. – No cóż, tak. Mam poczucie winy, że zostawiam je same, o to mi chodzi. Dobrze wiedzieć, że ma kogoś do pomocy, kiedy mnie tu nie ma.

*

Wychodząc, żegnam się z panią Matthews. Mamrocze coś w odpowiedzi, nie podnosząc wzroku znad tortu. Jak maniaczka nakłada pojedynczo pęsetą kawałki posypki na krem.

Na zewnątrz słońce już zaszło, zmierzch pomalował niebo na szarawy błękit. Dom sam przypomina wielki tort, odcina się na tle szerokiego pustego nieba. Siedzi na krawędzi najprawdziwszego urwiska, nad prościutką przepaścią ciągnącą się kilkadziesiąt metrów w dół. Trzy wielkie ciemne ptaki krążą na wysokości piwniczki. Nazywają je tu sępnikami, to niewielki typ kondora. W dole leży coś nieżywego.

Wsiadam do samochodu, ale i tak to czuję. Co noc, gdy kończę pracę, czuję to. Jakby jakaś dłoń ciągnęła mnie do tyłu. Przekręcam kluczyk, ruszam okrężnym podjazdem ku żelaznej bramie. Chcę wrócić do środka. Chcę wziąć dziecko w ramiona i zabrać je ze sobą.

Oczywiście tego nie robię. Co noc ignoruję ciągnącą dłoń. Ale wiem.

Jestem tego pewna jak słów modlitwy.

W tym domu jest zło.